

Wprowadzenie

Pozwól, że się przedstawię

Mam na imię Justyna i jestem obecnie dwudziestopięcioletnią jedynaczką z „dobrego domu”, posiadającą tytuł magistra informatyki, współwłaścicielką firmy produkującej drewniane meble, fotografką z zamiłowania, żoną oraz matką dziecka, które żyło dwie i pół godziny... Tak, wiem, to ostatnie nieco odbiega od pozostałych określeń i może sprawić, że przeszyje człowieka nieprzyjemny dreszcz. Ale zacznijmy od początku...

Wychowałam się w rodzinie, która miała etykietkę „rodziny idealnej”. Rodzice z dobrymi zarobkami, dom, wycieczki zagraniczne i ja, kochana córeczka ze świetnymi ocenami w szkole. Rodzice mieli czas, aby ze mną rozmawiać. Inwestowali dużo energii, aby pokazać mi, jaką drogę w życiu obrać. Lubili przedstawiać argumenty dotyczące tego, co według nich jest słuszne, a co nie, i kładli duży nacisk na moją edukację. Całe szczęście i nauka nie sprawiała mi większych problemów. Wszystko, co miałam i osiągałam w tamtym czasie, przychodziło mi stosunkowo łatwo. Mogłam spełniać wszelkie swoje zachcianki, ponieważ rodzice chętnie nagradzali mnie za każdą dobrą ocenę. Pracowali z oddaniem, więc nie skąpili mi pieniędzy. Dodatkowo moje babcie nie

miały wielu wnuków poza mną, co sprawiało, że chętnie poświęcały mi czas. W naszej rodzinie przez wiele lat nie było większych problemów, jedynie rutynowe trudności, jakie mogą przydarzyć się każdemu.

Obecnie wiem, że idealne rodziny nie istnieją, a i nam do ideału bardzo wiele brakowało. Pewne zdarzenia sprawiły, że nasza pozorna doskonałość rozwiała się i nie można było już mówić, że u nas wszystko w porządku. Były to wydarzenia niezależne ode mnie, niezwiązane z moimi wyborami czy postępowaniem. Dotyczyły jednak bardzo bliskich mi osób i odcisnęły na mnie swoje piętno. W myśl powiedzenia, że problemy chodzą parami, zsynchronizowały się z moim wyjazdem na studia i pierwszymi krokami w stronę samodzielności. Wybór trudnego dla dziewczyny technicznego kierunku i wymagającej uczelni nie ułatwiały mi startu w dorosłość. Nie miałam już takich dobrych ocen jak w szkole. Podjęcie studiów wiązało się z przeprowadzką i wyjazdem do dużego miasta, lecz nie zapewniły mi ucieczki od problemów. Wręcz przeciwnie, czułam się w obowiązku wspierać najbliższych, których sytuacja zaistniała w naszej rodzinie dotknęła bezpośrednio. Działanie na odległość, przy użyciu telefonu komórkowego, było jednak trudne i tylko pogłębiało uczucie tęsknoty.

Na studiach było mi ciężko do tego stopnia, że nie byłam pewna, czy zaliczę kolejny semestr. Aby uniknąć powtarzania przedmiotów, musiałam spędzać większość dni na nauce, a gdy już miałam wolny wieczór, to oczywiście szliśmy ze znajomymi na imprezę odreagować ciężki tydzień. Były

momenty, że ucząc się sama w pokoju, czułam się jak uwięziona w klatce. Przez większość czasu doskwierała mi samotność, ale nie mogłam zrezygnować ze studiów, bo wiedziałam, że rodzice będą wściekli. Nie mogłam też wyżalić się mamie, ponieważ ona w tym czasie bardziej potrzebowała wsparcia i to ja czułam, jakbym chwilowo musiała być dla niej mamą. Moje życie przez długi czas było zaprogramowane jak u robota. Od rana uczelnia, później nauka do nocy, a gdy nadchodził wolny wieczór – impreza. Warto nadmienić, że przez ten cały czas uważałam się za dobrą osobę, która postępuje właściwie i robi to, co słuszne. Cotygodniowe spożywanie alkoholu nie zaburzało tej oceny. Szukanie szczęścia na dyskotekach usprawiedliwiałam myśleniem, że na pewno przychodzą tam osoby, które czują podobną pustkę do mnie i może uda mi się poznać kogoś wartościowego. W moim mniemaniu prowadziłam normalne życie studenckie, które w niczym nie odbiegało od normy. W gruncie rzeczy nie byłam przecież złym człowiekiem. Poświęcałam się, aby spełnić oczekiwania swoich rodziców. Chodziłam na imprezy jedynie po to, by odreagować zmęczenie. Nieważne, że skutek był dokładnie odwrotny. Zapijałam smutki, bo „każdy” w tym wieku tak robi, nie miałam na swoim koncie żadnych specjalnych wybryków. Utwierdzało mnie to w przekonaniu, że ogólnie jest ze mną w porządku. Starłam się nie zauważać poczucia beznadziei, które pukało do mnie codziennie. Próbowала skupiać się na zadaniach bieżącego dnia, a moim jedynym celem było to, by nareszcie skończyć te męczące studia. Wszelkie inne aktywności traktowałam

jak epizody mające umilić mi sytuację, w której się znalazłam. Teraz już wiem, że w tamtym suchym i pustym dla mnie czasie działy się rzeczy, których dzisiaj przypadkami nazwać nie mogę. Znając ich następstwa i rozumiejąc związek przyczynowo-skutkowy, odnajduję w nich sens.

Jedna z takich sytuacji miała miejsce pewnego wieczoru, gdy wróciliśmy z koleżanką po imprezie do naszego studenckiego mieszkania. Zastałyśmy w kuchni naszego współlokatora siedzącego ze swoim kolegą. Kolegę, o którym mowa, znałam wcześniej z widzenia. Pojawiał się czasem w odwiedzinach, przesiadywał w naszej studenckiej kuchni wraz ze swoim znajomym, który z nami mieszkał. Nierzadko zza drzwi swojego pokoju słyszałam fragmenty ich rozmów. Trzeba przyznać, że przez jakiś czas znałam tylko jego charakterystyczny głos. Jako że wpadał dosyć często, zdarzył się ten raz, gdy podczas jego obecności musiałam wyjść po coś z pokoju. Wysłałam, przywitałam się kulturalnie, mówiąc: „cześć!”, przedstawiłam się, jak to robiłam zwykle, i wtedy się zaczęło... Nie mam w zwyczaju budować sobie obrazu drugiej osoby tylko na podstawie wyglądu. Myślę jednak, że każdy z Was przeżył kiedyś sytuację (a jeśli nie, to pewnie przeżyje), kiedy zobaczył jakąś osobę po raz pierwszy w życiu i nic nie było już takie samo jak dwie sekundy wcześniej. Nie potrafię tego dokładnie wyjaśnić. Nie jest to uczucie, które dałoby się zgrabnie ubrać w słowa. Nazwanie tego, co czułam, „motylami w brzuchu”, choć mogłoby wydawać się trafne, znacznie spłyciłoby moje odczucia. Niestety, w tamtym momencie, z uwagi na różne problemy i niewiadome,

których ciężar nosiłam, zachowałam się nad wyraz trzeźwo. Wzięłam to, po co przyszłam, po czym wróciłam do swojego pokoju. Nie zrobiłam absolutnie nic, co mogłoby pomóc mi poznać tego człowieka lub sprowokować go, aby chciał się dowiedzieć o mnie więcej. Podeszłam do sprawy realistycznie. Wiedziałam, że to nie jest dobry moment na gmatwanie sobie życia takimi znajomościami.

Wróćmy jednak do wieczoru, gdy byłam po imprezie. Tym razem okoliczności były zupełnie inne. W mojej głowie lekko szumiało. To wystarczyło, aby zagłuszyć głos zdrowego rozsądku. Potrzeba bycia zachowawczą również nie wydawała się już taka ważna. Byłam z koleżanką, więc było mi różnie. Był weekend, a chłopaki nie wyglądali, jakby byli szczególnie zajęci czymś, w czym mogłybyśmy im przeszkodzić. Jak na mój matematyczny umysł przystało, wykonałam w głowie ekspresową analizę sytuacji, z której wynikało, że nie mam nic do stracenia. Zapytałam, czy możemy się przysiąść. Moje pytanie zostało pozytywnie przyjęte i spędziliśmy z chłopakami resztę wieczoru (przyjmując, że wieczór studencki trwa do trzeciej w nocy). Wypiliśmy po kolejnym piwie, rozmawialiśmy, żartowaliśmy i spędziliśmy typowo studencki wieczór.

Następnego dnia rano (zakładając, że studenckie poranki zaczynają się w południe) zaczęłam od doprowadzenia swojego organizmu do stanu sprzed imprezy. Innymi słowy, odespałam, zjadłam śniadanie, ogarnęłam się, po czym znów włączyłam myślenie, że to nie czas na takie relacje. Starałam się jak najszybciej zapomnieć, że cała sytuacja miała miejsce.

Próbowałam nie dopuszczać do siebie nadziei, że mogłam zainteresować sobą wspomnianego kolegę. Nawiasem mówiąc, gdy przetwarzałam to w głowie, naśmiewałam się sama z siebie. Wzbudzenie zainteresowania poprzez prowadzenie nocnych rozmów o co najmniej wątpliwej błyskotliwości było wysoce nieprawdopodobne. Dążyłam więc do tego, aby jak najprędzej zająć się swoimi codziennymi zadaniami i nie pozwolić sobie ani na moment rozproszenia.

To wszystko mogłoby się wydawać typową historią z życia dwudziestoletniej studentki, która w tym miejscu lub niedługo powinna mieć swój koniec. Było jednak inaczej. Mimo dużego samozaparcia i sporych umiejętności oddzielania się od myśli, które nie były mi na rękę, moje nastawienie się zmieniło. Nie wiedzieć kiedy, złapałam się na tym, że przed każdym powrotem do mieszkania z uczelni, ze sklepu, skądkolwiek, zastanawiałam się, czy akurat nasz współlokator siedzi ze swoim kolegą w kuchni. I rzeczywiście często tak było, że siedział. Przez długi czas mówiłam mu tylko „cześć!”. Jednak pewnego razu to my z koleżanką siedziałyśmy w kuchni. Chłopcy przyszli i zapytali, czy mogą się przysiąść. Takie zagranie z ich strony zmieniło nieco zasady gry i moje postrzeganie sytuacji. Przestałam czuć się głupio, robiąc sobie nadzieję. Od tej pory okazje do „przysiadania się” zdarzały się regularnie. Mimo że okoliczności mojego życia były nieprzychylnie nastawione do zawierania nowych znajomości i, jak się później okazało, mojego obecnego męża też, pokonałyśmy wszelkie trudności. Obydwoje mieliśmy przed sobą trudy, z którymi musieliśmy się zmierzyć, problemy, które trzeba było

rozwiązać oraz decyzje, które należało podjąć. I wiecie co? Nigdy później w moim życiu nie doświadczyłam takiej sytuacji, gdy rzeczy pozornie trudne do rozwiązania i wymagające czasu znikają jedna po drugiej. Podejmowane działania przynosiły rezultaty i pomagały znaleźć się w miejscu, w którym chcieliśmy być. Dlaczego? Bo motywacją była druga osoba. Chęć bycia z nią. Żadne z nas nic sobie nie obiecywało, a jednak okazało się, że w tym samym czasie zrobiliśmy porządki w swoim życiu. Porządki, które pozwoliły nam otworzyć serca na nową relację. A wszystko rozpoczęło się od pragnienia, które nagle przyszło do mojego serca, i od zmiany nastawienia. Dzisiaj wiem, że takie nagłe pragnienia większych zmian nie są przypadkowe. Wrócę do tego w dalszej części tej książki.

Pobraliśmy się. I to stosunkowo szybko. Byliśmy siebie bardzo pewni. Wszelkie argumenty, że to za szybko, że jesteśmy bardzo młodzi, że na to zawsze będzie czas, nie miały dla nas znaczenia. Około pół roku po ślubie podjęliśmy decyzję o przeprowadzce do innego miasta. Było to rodzinne miasto Michała, mojego męża. Niestety, znajdowało się dokładnie po drugiej stronie kraju niż miejsce zamieszkania moich rodziców. Pochodziliśmy z dwóch odległych od siebie miast, więc trzeba było na coś się zdecydować. Po wielu dyskusjach zgodziłam się. W gruncie rzeczy lepsze jest życie blisko przynajmniej części rodziny niż bycie odseparowanym od bliskich w ogóle. Wiedziałam, że dla moich rodziców, jako rodziców jedynaczki, to będzie cios. Niemniej już sam wyjazd na studia był dla nich przełomem, z którym

jakoś sobie poradzili. Wytłumaczyłam im, że zmiana miasta na bardziej odległe nie zmieni wiele.

Argumentem, który ich przekonał, był też fakt, że trochę mniejsze miasto dawało większe szanse na rozwój mojego hobby, jakim jest fotografia. Wiedziałam, że w tak dużym mieście jak Kraków, z którego uciekaliśmy, nie odważyłabym się na próbę przekształcenia fotografii w sposób na życie. Pod tym względem to była dla mnie szansa. Rzeczywiście, już niedługo po naszej przeprowadzce dostałam możliwość pracy w studiu fotograficznym. Praca ta umożliwiła mi wykonanie swoich pierwszych reportaży fotograficznych oraz poszerzyła moją wiedzę na temat fotografii. Rozwój wspomnianego hobby nieco mnie pochłonął i zaczęłam spędzać w studiu sporo czasu, nawet po godzinach, obrabiając zdjęcia. Zdarzało się, że wracałam do domu bardzo późno.

Mój mąż w tym czasie również rozwijał swoje nowe hobby, co było mi nawet na rękę. Nie miałam wyrzutów sumienia, że tak często nie ma mnie w domu. W tym czasie mało czasu spędzaliśmy razem, pewnie dlatego bywały między nami zgrzyty. Nie przejmowałam się tym jednak zbyt. Był to w moim mniemaniu najlepszy czas na rozwijanie swoich pasji. Byłam świeżo upieczoną żoną. Tłumaczyłam sobie, że tak chyba wygląda życie każdego małżeństwa. Posiadanie hobby jest przecież dobre. Nie można siedzieć non stop na kanapie przed telewizorem.

Uważałam, że mając hobby, jestem bardziej wartościowa w oczach męża. Jestem kobietą, która ma zainteresowania. Niech nie myśli, że świata nie widzę poza nim, to będzie się

bardziej starał. Trudno mi to teraz przyznać, ale takie podejście wydawało mi się „zdrowe”. Myślałam, że przynosi to korzyści dla obydwu ze stron. Zagwarantuje, że nie popadniemy w rutynę. Ciekawe, że w tym czasie nasze dni zaczęły być bardzo do siebie podobne. Właśnie wtedy, gdy myślałam, że zapobiegam rutynie.

Pustkę, którą odczuwałam jeszcze na studiach, wypełniłam byciem żoną i samorealizacją. To był już jakiś cel. Wmawiałam sobie, że tyle wystarczy. Jestem ważna dla kogoś. Dodatkowo mam zainteresowania i chcę rozwijać swoje umiejętności. To nie jest puste egzystowanie, w którym uciekasz od wszelkich emocji, żeby nie odczuwać smutku. Mam prawo, aby okazywać miłość drugiej osobie i być kochaną. Jest dobrze. Byle utrzymać tę stabilność do końca swoich dni, to nie będzie źle. O to przecież w życiu chodzi. Żeby było dobrze, prawda? Gdybym dzisiaj spotkała osobę, która rozumuje tak jak ja wtedy, to odpowiedziałabym jej bez zastanowienia: „o właśnie nieprawda”.

Zmiany

Wejście w małżeństwo jest zawsze czymś nowym. Myślę, że nie ma osoby, dla której podjęcie decyzji, że zostanie z tą właśnie osobą do końca swojego życia, nie stanowiłoby pewnego przełomu. Nawet jeśli pozornie tego nie widać. Ludzie bardzo przeżywają każdą zmianę. Często nie lubią ich, mają nawet tendencję do wzbraniania się przed wieloma z nich

wszelkimi możliwymi sposobami. Mam wrażenie, że nawet wtedy, gdy w naszym życiu zachodzą zmiany, które klasyfikujemy jako „te dobre” i których wyczekujemy, to zagnieżdża się w nas jakiś strach i mamy sporo wątpliwości. Wynika to w mojej opinii z obaw przed czymś nieznanym. Każda ze zmian przynosi przecież coś nowego. Stawia nas w sytuacjach, w których jeszcze nie byliśmy. Jest swego rodzaju testem, który pokazuje, jak sobie poradzimy w nowej sytuacji. Nie uwierzyłabym więc, gdyby ktoś powiedział mi, że wejście w małżeństwo nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Również dla nas była to pierwsza przeżyta wspólnie poważna zmiana.

Drugą z nich, jak już wspominałam, była przeprowadzka do innego miasta. Prawdę mówiąc, była to dużo większa zmiana dla mnie niż dla mojego męża, ponieważ dla Michała był to powrót do rodzinnego miasta. Niemniej wydaje mi się, że poradziłam sobie z tą zmianą całkiem dobrze. W nowym mieście od razu kontynuowałam studia, dołączyłam do lokalnego stowarzyszenia fotografów i rozpoczęłam pracę w studiu fotograficznym. W krótkim czasie udało mi się poznać sporo nowych osób. Szybko więc zapobiegłam temu, czego bałam się najbardziej.

Po co o tym wszystkim opowiadam? Żeby dać się lepiej poznać. Żebyś mógł wiedzieć, jakie okoliczności życia mi towarzyszyły. Żeby pokazać, że tak jak każdy doświadczyłam w swoim życiu sytuacji, które mnie ukształtowały, były moimi osobistymi przełomami, i jednocześnie przyznać, że to, co w tamtych momentach wydawało mi się wyzwaniem, tak naprawdę było niczym w porównaniu do tego, co

miało nadejść później. Żeby się usprawiedliwić i wyjaśnić, że mimo iż duża część mojego życia była po prostu łatwa, to w obliczu drobnych problemów starałam się zawsze znaleźć rozwiązanie. Żeby zwrócić uwagę na to, że nieposiadanie większych problemów wcale mi nie pomogło, gdy takowe nadeszły. Wręcz przeciwnie, dalsze wydarzenia zaskoczyły mnie przez to jeszcze bardziej. Żeby Ci wyjawić, że opis wcześniejszych wydarzeń z tej książki jest nieco wyolbrzymiony. Nie dlatego, że jestem nieszczerą, lecz dlatego, że tak te wydarzenia wtedy przeżywałam. Były epicentrum mojego życia. Taka wtedy byłam. Moją receptą na życie było kłamstwo, że jeśli będę się starała być dobra dla innych, to los będzie też dobry dla mnie. Tak to niestety nie działa. W dodatku, choć starałam się być dobrym człowiekiem, byłam skupiona głównie na sobie.

Nie chcę już taka być. To, co przeżyłam, sprawiło, że już nigdy nie będę tą samą osobą. I chwała Bogu! Nie zamierzam zmarnować swojego doświadczenia. Zostałam w młodym wieku przeprowadzona przez wydarzenia, których nie doświadczyła niejedna starsza osoba. Zdobyłam dzięki temu coś wartościowego, czym mogę się podzielić. Chcę to teraz zrobić. O tym właśnie jest ta książka. Pryzmat moich doświadczeń jest tylko podkładką. Wiem, że jeśli czytasz tę książkę, to z dużym prawdopodobieństwem Ty lub ktoś z Twoich bliskich przeżywasz teraz bardzo trudny okres. Gwarantuję Ci, że jeśli dobrniesz do końca, otrzymasz nadzieję. Znajdziesz tu dużo praktycznych porad. Wiedz również, że nie chcę Ci nic narzucać, jedynie proponuję. Bardzo serdecznie Cię zapraszam i zachęcam: czytaj dalej!

1. Wygląda na to, że zostaniemy rodzicami!

Hormony kontra logika

Był ciepły letni dzień. Mój mąż majsterkował w warsztacie u swoich rodziców, a ja siedziałam na kanapie i oglądałam telewizję. Teściów nie było w domu. Nie wiedziałam dlaczego, ale wszystko mnie irytowało. Miałam ochotę obrazić się na cały świat. „Dlaczego tak długo coś robi? Dlaczego ja tu siedzę? Dlaczego ma gdzieś to, jak się czuję?” – takie wyrzuty, choć nie do końca słuszne, zaprzętały moją głowę. Michał niczym sobie na nie nie zasłużył, ale byłam lekko podenerwowana. Od kilku dni spóźniał mi się okres. Nie było to dla mnie niczym nadzwyczajnym, nie miałam regularnych cykli.

Nie należałam jednak do kobiet, które przed miesiączką chodzą złe i nabuzowane, pragnąc sobie ulżyć na pierwszej napotkanej osobie. Miewałam co najwyżej drobne wahania nastrojów, które starałam się jednak zatrzymać dla siebie. Tym razem czułam się inaczej – dziwnie. Bolał mnie brzuch, ale zamiast nie przejmować się tym jak zawsze, próbowałam się wsłuchać w ten ból. Było mi przykro, że nikt nie zauważa, że jestem zaniepokojona. Wprawdzie byłam sama w pokoju i nikt nie miał szansy tego zauważyć, lecz było mi przykro,

i już! Kobieta. Hormony. Faceci, którzy to czytacie – pamiętajcie, że takie rzeczy się zdarzają i okazujcie wyrozumiałość.

Czy nie pomyślałam wcześniej, że to może być ciąża? Oczywiście, że pomyślałam. Rozmawiałam nawet o tym z Michałem. Jednak odkąd byliśmy małżeństwem, nie raz zdarzało mi się rzucić w rozmowie: „A może jestem w ciąży?”. Był już więc do tego przyzwyczajony. Swoje odpowiedzi na tego typu pytania kończył słowami, że panikuję jak zawsze. Używał słowa „panika”, choć ciąża nigdy nie była dla nas czymś, przed czym mieliśmy zamiar się wzbraniać na wszelkie możliwe sposoby. Moje zachowanie można było jednak w pewnym sensie tak określić. Wydaje mi się, że wiele kobiet na myśl o ciąży wpada w panikę. Dlaczego? Przecież znakomita większość z nich lubi dzieci i marzy o własnych. Pisząc to, sama staram się znaleźć tego przyczynę. Przychodzi mi na myśl wspomniana wcześniej zmiana. Lęk przed zmianą. Pierwsza ciąża jest czymś zupełnie nowym w życiu każdej kobiety. Czymś totalnie nieznanym. Ba, zazwyczaj nie tylko w życiu samej kobiety, ale również w życiu partnera.

Kiedy tak siedziałam samotnie, czekając na Michała i wsłuchując się w tępe pobołowanie w podbrzuszu, tak jakbym liczyła na to, że jeśli odpowiednio mocno się skoncentruję, to organizm powie mi, co się dzieje, przysłała do mnie znowu myśl o ciąży. Nie wiem dlaczego, ale nagle ogarnęło mnie przekonanie, że tym razem to właśnie jest powód mojego rozchwianego samopoczucia. Doszłam do wniosku, że nigdy wcześniej się tak nie czułam i że to wszystko wskazuje na coś

nowego, coś, czego jeszcze nie doświadczyłam. Jako że jestem osobą, która nie wytrzyma długo w stanie niepewności, szybko zaczęłam układać w głowie plan. Pomyślałam logicznie w przerwie między emocjonalnymi zawirowaniami i doszłam do wniosku, że rozwiązanie jest bardzo proste – trzeba zrobić test ciążowy. Słyszę, jak część Czytelników wypowiada na głos ironiczne słowa w stylu: „Eureka!”. Uwierzcie mi jednak na słowo, że znalezienie rozwiązania przez kobietę pod wpływem hormonów, która przeżywa w jednym momencie wiele skrajnych emocji, nie jest proste.

Zasadniczo plan składał się z dwóch etapów: kupić test ciążowy i wykonać go. W grę wchodziła jednak jeszcze jedna bardzo ważna kwestia: przekonanie Michała, że należy to zrobić. Nie udało mi się to od razu. Dopiero wieczorem, gdy byliśmy już w domu, widząc, jak przebieram nogami i nie mogę się na niczym skupić, mąż przystał na moje namowy. Było już dosyć późno. Wybraliśmy się więc do dyżurnej apteki. Cała ta wyprawa wydawała nam się nieco zabawna. Odganiaaliśmy swój niepokój, obracając wszystko w żart.

Gdy wróciliśmy do domu, od razu zabraliśmy się za wykonanie testu. Michał był ciekawy. Przestał być święcie przekonany, że wie, jaki będzie wynik. Przeczytał instrukcję, aby wiedzieć, co oznaczają poszczególne kreski, kiedy wynik może być nieważny i tym podobne. Wykonałam wszystko zgodnie z opisem i chciałam zostawić test w łazience, aby wrócić za pięć minut i sprawdzić wynik. Nie zdążyłam jednak od niego odejść. Momentalnie zaczęła pojawiać się druga kreska. W tamtym momencie nie byłam jeszcze

w pełni świadoma, co to oznacza. Zawołałam więc z łazienki jeszcze zupełnie normalnym tonem głosu:

– Ej, tu się pojawiły jakieś dwie kreski.

Michał w ciągu dwóch sekund był w łazience. Z półuśmiechem na ustach i niedowierzaniem patrzył na test.

– Wygląda na to, że zostaniemy rodzicami! – oświadczył.

Będąc w sporym szoku, zaczęliśmy się przytulać. Momentalnie pojawiła się radość. Nie możemy powiedzieć, że planowaliśmy to dziecko, ale nigdy też nie będziemy mogli powiedzieć, że było ono niechciane. Wiedzieliśmy, że chcemy mieć dzieci. Gdybyśmy mogli zdecydować, może byłoby to rok później. Zdążyłabym skończyć spokojnie studia. No ale rok w tę czy w tamtą? Co za różnica? Przecież studentki biorą dziekanki, aby urodzić dziecko – szybko skalkulowałam w głowie. Stwierdziliśmy zgodnie, że nie jest to problem, który byłby nie do przejścia.

Zaraz potem, mimo późnej godziny i wciąż trochę nie dowierzając, zadzwoniłam do mamy. Powiedziałam prosto z mostu, że właśnie dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Ogromnie się ucieszyła. Krzyczała wręcz z radości. Nie przejmowała się nawet tym, że prawdopodobnie będę musiała przerwać na chwilę studia. Radość wzięła w tym momencie górę. Zagadałyśmy się. Kątem oka widziałam, że powinienam już zakończyć tę euforyczną rozmowę, ponieważ mąż się niecierpliwił. Chciał, żebyśmy mogli razem przeżyć resztę tego wieczoru – jednego z najbardziej zapadających w pamięć wieczorów w naszym życiu.

– Będziesz mamusią? – powiedział do mnie żartobliwie, gdy odłożyłam telefon.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Po prostu usiadłam obok niego na kanapie i się przytuliłam. Nie mogłam uwierzyć, że w moim brzuchu zaczyna rosnąć nowe życie. Nie mogłam też uwierzyć w to, że nasze życie po prostu się układa. Gdy tylko dowiedzieliśmy się, że jestem w ciąży, wszelkie polemiki na temat tego, kiedy byłby najodpowiedniejszy czas, odeszły na bok. Okazało się, że tu i teraz jest odpowiedni czas i oboje to akceptujemy. Nasze małżeństwo weszło w kolejny etap. Oboje byliśmy szczęśliwi.

Ciążowa rzeczywistość

Wszyscy mamy jakieś wyobrażenia odnośnie do tego, co ma się wydarzyć w przyszłości. Pewnie większość kobiet, myśląc o swojej ciąży, widzi siebie odpoczywającą na kanapie oraz męża, który zajęty jest domowymi obowiązkami i tylko donosi świeże owoce. Niestety, rzeczywistość bywa trochę brutalna. Nasi mężowie muszą chodzić do pracy. Mają nawet prawo wrócić z niej zmęczeni. Wracając pośpiesznie do domu, aby jak najszybciej sprawdzić, jak się czujesz i co u Ciebie słychać, mogą z roztargnienia zapomnieć kupić owoce lub słodycze, o których marzysz. Ba, mogą w ogóle nie domyślić się, jaka jest w tej chwili twoja zachcianka. Co więcej, mogą myśleć, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś sama wyszła do sklepu. Szczególnie gdy jeszcze w ogóle nie masz

brzucha i jedynym objawem Twojej ciąży są mdłości. To, że Cię mdli, nie zawsze też jest widoczne na pierwszy rzut oka. Dlatego oni naprawdę myślą, że cały dzień tylko siedzisz w domu i odpoczywasz. W dodatku, nawet jeśli mąż przejmie na początku część Twoich obowiązków, po czasie prawdopodobnie okaże się, że wiele rzeczy i tak musisz robić sama. Nie wspominam w ogóle o przypadku, w którym kobieta przez większość ciąży musi chodzić do pracy. Mam świadomość, że tak bywa.

Nasz przypadek był o tyle odmienny, że wciąż byłam studentką. Nie pracowałam więc na pełen etat, za to chodziłam na zajęcia. Prowadzący i inni studenci nie wiedzieli, że jestem w ciąży. Przynajmniej przez połowę jej trwania, póki nie zaczął rosnąć mi brzuch i niektórzy zaczęli się domyślać. Jak już wspomniałam, nie miałam pracy na pełen etat, ale wciąż dorabiałam w studiu fotograficznym. Na początku ciąży przesiadywałam tam jeszcze całkiem sporo czasu. Wraz z jej postępem przestawałam obrabiać zdjęcia po godzinach. Przychodziłam jedynie do pracy w pojedyncze dni. Moja codzienność była więc wypełniona różnymi aktywnościami. Było to możliwe, bo dzięki Bogu ominęła mnie najbardziej uciążliwa dolegliwość pierwszego trymestru, jaką są regularne mdłości. Gorsze samopoczucie zdarzało mi się sporadycznie. Dodatkowo moje wyniki badań krwi były bardzo dobre – wszystko w normie. Czułam się bardzo dobrze.

Niestety wzorowo nie czuło się moje małżeństwo. Nie mogę oczywiście powiedzieć, że było bardzo źle. Z perspektywy czasu widzę jednak, że przejawialiśmy zachowania, które,

gdyby nie zostały przerwane na skutek późniejszych zdarzeń i zmiany naszego światopoglądu, mogłyby prowadzić do poważniejszych konsekwencji. Coraz częściej zdarzały nam się kłótnie, których rozwój był niewspółmierny do powodu sprzeczki. Kłótnie, w których drobiazg, o którym następnego dnia można by zapomnieć, prowadził do poważnych konfliktów, w czasie których wywlekane były problemy z całego minionego roku tylko po to, by udowodnić swoją rację i zamifestować, kto miał gorzej w tym związku. Co za absurd kłócić się w taki sposób – myślę w tej chwili. Nie po to przecież tworzy się związki, aby którejkolwiek ze stron było gorzej. Naprawdę szczerze i z serca przestrzegam Cię: nie rób sobie tego. Wiem, że łatwo się mówi, gdy wszystko jest okej i czyta się spokojnie książkę. Zupełnie inaczej jest, gdy emocje biorą górę.

Jako przestrozę opowiem w takim razie o jednej kłótni z naszego życia. Paradoksalnie miała ona miejsce kilka dni po tym, jak dowiedzieliśmy się, że jestem w ciąży. Kilka dni po tym, gdy przeżywaliśmy tak ogromne szczęście i wszystko było między nami cudownie. Za żadne skarby świata nie przypomnę sobie, o co poszło. To najlepszy dowód na to, że na pewno nie było to nic poważnego. Był późny wieczór. Z kłótni pamiętam jedynie to, że byłam zderwowana do granic. Michał powiedział, że idzie spać do salonu. Wziął poduszkę i kołdrę i wyniósł się z pokoju. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Niemalże trzęsłam się ze złości. Później płakałam. Płakałam i prosiłam go, żeby wrócił. Martwiłam się. Wiedziałam, że w ciąży nie powinnam się

stresować, lecz nie potrafiłam nad sobą zapanować. Z bezradności zaczęłam krzyczeć do niego, że jak będzie mnie tak traktował, to dziecko na pewno będzie chore.

Czy taka sytuacja może być przyczyną choroby dziecka? Wydaje mi się, że nie. Nie potrafię sobie jednak wybaczyć, że tak się zachowałam. Do dziś mam wyrzuty sumienia, że tak powiedziałam – z bezsilności, ale z dużym przekonaniem w wyniku wzburzenia. Nawet na następny dzień w rozmowie z przyjaciółką dzieliłam się z nią obawami, że przez mój stres dziecko może być chore. Nie powinnam była tak mówić. Nie mam tu na myśli jakiejś magii czy zaklęć. Dziś po prostu znam znaczenie wypowiedzianych słów. Wiem, że nie można rzucać ich na wiatr. Jeszcze raz powtórzę: niech ta krótka historia będzie dla Ciebie przestrogą. Trzymaj język za zębami, aby nie wypowiedzieć czegoś, czego będziesz żałować do końca życia.

Podzielenie się z Tobą tą sytuacją wymagało ode mnie przełamania się. Nie jest łatwo przyznać się, że moja rzeczywistość, moje relacje z innymi lub jeszcze inne aspekty nie są idealne. Jednak niech podniesie rękę, kto nie przeżył w swoim związku takich momentów. Idealnie byłoby nie klócić się wcale. Uważam jednak, że mieszkając z kimś pod jednym dachem, nie sposób nie znaleźć płaszczyzn, na których można się poróżnić. Dobrą praktyką jest oczywiście panowanie nad sobą w kłótniach i nie obrażanie drugiej osoby. Wyrażanie swojego zdania ze spokojem i chęć zrozumienia punktu widzenia partnera. Takie podejście sporo zmienia w relacjach, ale nie pojawia się za pstryknięciem palcami.

A co z małżeństwami, które wcale się nie kłócą? Nie wiem, lecz gdybym w swoim małżeństwie zobaczyła taką tendencję, byłby to dla mnie pierwszy dzwonek, że coś może być nie tak. Im bardziej człowiekowi na kimś zależy, tym bardziej sprawia mu przykrość każda sytuacja, w której ta osoba zawodzi. Każda najmniejsza różnica zdań w sprawach istotnych wywołuje ból i jest trudna do zaakceptowania. Osoba, z którą spędzasz najwięcej czasu, jest też najczęściej osobą, na której wyładowujesz najwięcej stresu, frustracji czy złości. To brutalna prawda o naszej naturze. No nie sposób się z taką osobą nigdy o nic nie pokłócić! Ogólnie rzecz biorąc, uważam, że kłótnie są potrzebne (może nie akurat takie jak ta, którą opisałam). Pozwalają oczyścić atmosferę. Sprawiają, że bardziej docenia się te dobre momenty. Powodują, że zaczyna się nad sobą pracować.

W naszym małżeństwie od zawsze mieliśmy tendencję do tego, by tak szybko, jak potrafimy się pokłócić, również się godzić. Niech Cię więc nie zdziwi, że już następnego dnia zapomnieliśmy o całej sprawie. Nie było to może łatwe. Pewnie jak zazwyczaj zdarzyły się jeszcze jakieś docinki związane z wcześniejszym dniem. Jakies wyrzuty, żale, próby przestrzegania współmałżonka, że następnym razem powinien postąpić tak, a nie inaczej. Koniec końców – dogadaliśmy się.